11 NUMER. CZERWIEC 1909. ROK I.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO"

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Józefa Pilcha, Gazdy chochołowskiego,

pamiętnik o powstaniu chochołowskiem.

Do druku przysposobił *Feliks Gwiżdż.*

(Ciąg dalszy.)

Nastał dzień! Schodzą się gospodarze jeden do drugiego, nieświadomi jeszcze prawdy wypadków, które zaszły. Rozżaleni byli, że nikt nie umiał ich objaśnić o tem, co zaszło. Aż tu nadchodzi godzina 10-ta rano, a z Dzianisza, z Witowa przychodzą chłopi z kosami i fuzjami i opowiadają nieświadomym, co zachodzi między narodem polskim a Austrją.

Wysłyszeli to dwaj denuncjanci z przysiółka Koniówki vel Podczerwone, z których jeden mianował się Jan Tyrała a drugi Michał Liszka, i ci zaraz poszli do Czarnego Dunajca do sądu i wszystko opowiedzieli. Było to właśnie w niedzielę. Denuncjanci owi poszli także do kościoła i tam podczas kazania gwałtu narobili. Sąd zaraz wysłał posłańca do starostwa (w Nowym Targu), starostwo zaś zleciło załatwienie tej sprawy straży granicznej, gdyż żołnierza nie było pod ręką. W Chochołowie nie wiedzieli o tem bynajmniej, że zdrajcy już się znaleźli*).



Górale chochołowscy (według współczesnej litografji).

Lecz chodźmy dalej — co się w Chochołowie działo tymczasem. O godzinie 11 rano wychodzi ksiądz Kmietowicz przed sumą na ambonę i po odczytaniu ewangelji zaraz mówi o tem smutnem powstaniu i o tem, jak nas dręczą, uciemiężają cudzoziemskie rządy — nas austrjackie, naszych Braci pruskie i rosyjskie. Na dobrych ziemiach nasi bracia zamieszkują, a tak, jako i wymówił — co na jałowych ziemiach mieszkacie, gołem ciałem świecą. Wszystko, czego nam zabraniają i co nam nakazują, to przeciwne naszej wierze katolickiej — mówił, a słowa jego tak wzruszyły obecnych ludzi, że w kościele zrobił się wielki swar i płacz. Dalej prosił kapłan ojców i matki, aby nie żałowali synów swoich, ale ich chętnie ofiarowali na pomoc braciom swoim. Kto niema broni palnej — mówił, ten niech sobie przyrządzi choć kosę na żerdzi, aby się miał czem nieprzyjacielowi opierać.

Po mszy ksiądz Kmietowicz zaraz uwolnił chłopów, aby poszli do domu przyrządzać broń.

Po obiedzie przyszedł ksiądz Kmietowicz, odprawić nieszpory, przyczem odśpiewał litanję do Wszystkich Świętych. Organista zaś ubrał się, naśladując naszych pradziadów, w pas obszerny, czapkę barankową z wierzchołkiem gniado-czerwonym, uzbroił się w silną fuzję dubeltówkę, dwa duże pistolety i ciężki pałasz z trzema prętami mosiężnymi i wyszedł na plac przed wikarjówką. Tu ustawił powstańców, uzbrojonych w karabiny i pałasze, w jeden rząd, rozrachował ten rząd na trzy mniejsze oddziały, pomianował przełożonych i wysłał ich do sąsiednich wiosek po resztę powstańców. Jeden oddział poszedł do Dzianisza, drugi do Witowa, a sam organista z małym oddziałkiem ruszył do Cichego.

*) Te szczegóły o zdrajcach, opowiadane po dziś z różnemi zmianami, w pamiętniku Andrusikiewicza nie są uwzględnione.

O g. 7-mej wieczorem przyprowadzili mnóstwo chłopstwa; każdy przełożony w odpowiedniem miejscu ustawił ludzi swoich, ci oręże (broń), powbijali w śnieg, straż z dwóch ludzi przy broni postawiono, trzech zaś Chochołowian posłano na wartę na gościniec Czarno-dunajecki poniżej Chochołowa. Z tych dwóch było młodych chłopaków a trzeci Wojciech Godawa liczył około 50 lat.

Przechodząc przez wieś, patrzałem na to wszystko z podziwem. Ci, którzy najlepiej o wszystkiem wiedzieli, popijali wino i bawili się aż do godziny 11-tej (w nocy), potem posnęli, a ja także poszedłem do domu. Nie uszło godziny — we śnie jeszcze usłyszałem głos warty, która stała na gościńcu czarno-dunajeckim. Młodzi wołali — „już idą!“ — Wojciech Godawa zaś schronił się za kuźnię, na końcu Chochołowa stojącą, gdyż chciał się przekonać, co to za czerniawa idzie.

Tymczasem nadchodzący stanęli na kwadrans. Jakób Chlebek (z Czarnego Dunajca) jął ich pouczać, jak się mają trzymać razem i mówił im znamię „Ferdynand“ jako hasło.

— Kto na to nie odpowie — mówił — tego bierz, albo zrań, a możesz i zabić, gdyby się bronił.

Jeden z nich ostrzegał, by do wsi nie wchodzić w nocy, gdyż nas tam wyrżną, jak barany. Lecz Chlebek mówi: „miotła, jak sie rozsypie, a pościskasz ją, to nią zamieciesz“ — trzymać się razem! Była część, co nie chciała słuchać Chlebka, niektórym więc pozwolono zboczyć i ci poszli za ową kuźnię, gdzie stał Godawa. Godawę zdybali, do przełożonych zaprowadzili, pobili bez przyczyny i eskortowali do Nowego Targu. Te szczegóły on właśnie opowiadał potem.

Następnie nieprzyjaciele ruszyli do wsi i wołali: „który człowiek z Boga, niech przystanie do nas!“

Pewien gospodarz Jan Ziender przemknął się poza domami ku kościołowi i zadzwonił na gwałt. Ludzie się pobudzili i powychodzili z domów. Niektórych, nieumiejących odpowiedzieć na „Fedruf“ — (Ferdynand) — nieprzyjaciele zranili, kto zaś zaświecił w domu, temu okna wytłukli.

Nasi powstańcy nie domyślali się, że to strona przeciwna; mniemali, że to nadciąga oddział z Łopuszny i chce się z nimi połączyć. Uzbroili się przeto, jak na przywitanie. Ks. Kmietowicz wziął ze sobą małą pasyjkę, światło niósł obok księdza Jakób Blasiński. Gdy się zbliżyli wzajem o jakie 40 zwykłych kroków, jeden z przeciwników wziął natychmiast za cel księdza i postrzelił go w rękę. Ksiądz powrócił zaraz na wikarjówkę. Nasi dali również ognia — słychać było prędki strzał za strzałem — wreszcie nasi krzyknęli „hurra!“ Organista i dwaj strażnicy walą z pałaszami. Organista powalił komisarza Fiutowskiego. Przeciwna strona zesłabła. Nieprzyjaciel począł więc uciekać, przewracając się ze strachu, rzucając broń.

Działo się to o jakie 50 kroków od naszego domu. Naprzód patrzałem na tę walkę przez okno, a gdy się już uspokoiło, poszedłem na pobojowisko. Słyszałem smutny jęk poranionych. Z naszych było dwu ciężko rannych, a to: Jan Wróbel, pchnięty bagnetem w pierś, a drugi gospodarz z Witowa, postrzelony śrutem. Obaj żyli do poniedziałku do godziny ósmej. Z przeciwnej strony było dwu na śmierć zabitych — jeden strażnik, a drugi urlopnik — oraz ranny komisarz Fiutowski w sprawie którego pewien wysłużony żołnierz zapytał czy ma go dobić, na co otrzymał taką odpowiedź od organisty:

— Zachowaj Boże! To jest Polak, zawieźcie go do mego mieszkania.

Z chłopów żaden nie chciał się tego podjąć, to też kobiety włożyły go na chłopskie sanie i odwiozły na organistówkę, gdzie leżał do g. 4 popołudniu w poniedziałek. Poległych odwieziono do trupiarni.

Nasi powstańcy zesłabli. Jeden strażnik sam się zgłosił się do sądu, a drugi z organistą uszedł do Cichego. Wójt z Witowa Szczypta uciekł na Węgry. Reszta pokryła się po różnych schroniskach.

W poniedziałek o g. 4-tej popołudniu, gdy już zwiększono straże pograniczne od strony węgierskiej, idą księża z Czarnego Dunajca, panowie ze sądu, komisarz ze starostwa i oberkomisarz straży granicznej. Gdy się zbliżyli do Chochołowa, posłali naprzód parlamentarjusza z zapytaniem, czy spokój już panuje. „Jeśli nie — mówił — to nastąpi ogień, a ogień spali całą wieś“. Mówił to parlamentarjusz do ośmdziesięcioletniego starca, bo z młodych żaden w Chochołowie nie został. Wszyscy wyszli ze wsi na przyległy pagórek z obawy przed całą tą komisją. Dopiero, gdy przybyli, zawezwali „niewinnych“ do powrotu do wsi, w kilku chłopaków 14—15 i 16-letnich przyszliśmy do wsi. Uważaliśmy też pilnie na ich postępki.

Ci „przełożeni“ po wejściu do Chochołowa zaczęli pełnić swój obowiązek. Brali, wiązali naszych powstańców, a chłopstwo, podłota, którzy z nimi przyszli, dopuszczali się kradzieży. Najwięcej kradli w tych domach, w których dokonano aresztowań.

Aresztowano: ks. Kmietowicza, Jana Zycha, Jacentego Koisa wójta, Wojciecha Koisa zastępcę wójta, Jana Mniszaka i Jana Blaszaka.

Po organistę i drugiego strażnika (jeden bowiem sam zgłosił się do sądu) wysłano do Cichego we wtorek czterech urlopników ze strażą pograniczną, ściągniętą od granicy węgierskiej. Na oświadczenie urlopników, iż przyszli żądać złożenia broni (straż graniczna bała się przystąpić do Andrusikiewicza), organista i zbiegły z nim strażnik broń oddali i pozwolili się okuć. Po okuciu straż graniczna zaczęła urągać, naśmiewać, szturkać i policzkować więźniów. Po przywiezieniu ich do Chochołowa oberkomisarz przed karczmą dawał swoim po kieliszku rumu z cukrem, a tym uwięzionym biedakom zabronił dać nawet wody, o którą mnie prosili. Jeden ze strażników odepchnął mnie, lecz drugi pozwolił mi podać wodę. Jedni za wąsy więźniów targali do krwi, polskimi króla-

mi ich nazywali, drudzy zaś tymczasem reszty powstańców szukali po Chochołowie, wiązali i brali aż do Nowego Sącza bez politowania. Jegomościa ks. Głowackiego (z Poronina) tak raźno pchli do locha w N. Sączu, że aż sobie głowę rozbił.

Gdy już powstańców pozbierali, przyjechał komisarz sądu obwodowego w N. Sączu do Chochołowa, kazał urzędowi gminnemu zwołać pozostałych chłopów, a gdy się zeszli, nakazał im swoim kosztem postawić słup, jako oznakę sądu doraźnego*). Następnie nakazał wójtowi śledzić tych, którzyby się gromadnie schodzili i mówili o powstaniu, i żeby donosił o nich do sądu.

*) Na tem miejscu, gdzie stał słup sądu doraźnego, przez niespełna 3 lata, stoi z kamienia wykuta figura Jana Nepomucena. (Dopis Pilcha.)

(Dok. nast.).



ZYGMUNT LUBERTOWICZ.

Poetom skalnych Tatr.

hej z szumem ptactwo skalnych gór
alboż to gniazdem nam nie granit
kołyską nie tatrzański bór,
albośmy nie z piramid
maż nam przedrzeźniać żabi chór
śpiew tęsknych oceanid,
albośmy to nie ptactwo gór,
co gniazdem był mu granit?..

a mamyż to przez orlą perć
iść jeno dla oklasku
w urwisko patrzeć, przepaść, śmierć
a nie w słonecznym blasku
krzykiem tryumfu być dla serc
i bożą łaską!...
bo mamyż to przez orlą perć
iść jeno dla oklasku?...

nasz płaszcz królewski to nie złud
girlanda!... kwiecia trocha,
nie bystry strumień górskich wód,
kaskada tęczy płocha,
pasterskie berło dał nam lud,
co moc i światło kocha,
a kto te orły wzbudzi z gniazd,
jak Bóg trwał będzie w blasku gwiazd!...

Kraków maj 1909 r.



Czartowska skała.

Niemcy, którzy po zaborze Polski zdala przybyli do Lwowa, zastali piękność przyrody podlwowskich okolic w całym jeszcze blasku i majestacie. Jeszcze samo miasto nie miało zamiaru wylewać się nakształt kipiącej wody poza brzegi kotliny, w której je Opatrzność i Kazimierz Wielki osadzili. Nieznane były roboty ziemne i niwelacyjne, trasy kolejowe, parcelacje, masowa eksploatacja gliny czy kamienia. Wieniec wzgórz romantycznych otaczał miasto dokoła, a na nich wiosną cały czar przyrody leśnej i sielankowej wśród dzikich jarów, kręcących się strumyków, nagich i podmytych otoków z całem smętnem wspomnieniem odległych bojów i znojów, które się odzywało za każdem dotknięciem ziemi, wyrzucającej ze swego wnętrza zardzewiałe szczątki broni i czaszki ludzkie.

Niemcom lwowskim, którzy na to wszystko patrzyli roił się nadto po głowie „powrót do natury“ zaczerpnięty ze współczesnego piśmiennictwa a gdy do tego przyszedł jeszcze czas „Biedermajera“ z sielankowym nastrojem na zimno rozczulonej duszy — stało się że wszystkie zakątki lwowskiej okolicy pełne były wzdychającej publiki, która zatruwała gaje i lasy wyziewami piwnemi i okropnymi wierszami.

Ów czas — pierwsza połowa dziewiętnastego wieku — był jeżeli tak się wyrazić można, złotym wiekiem Czartowskiej skały, w lesienieckim borze. Nad jej dziką pięknością uleciało tyle westchnień z piersi poczciwych Niemek, tyle rymów skleili o niej „poeci“, że djabeł o ile miał kiedy miejsce zamieszkania w tem pięknem ustroniu, mógł być tym nagłym wylewem roztkliwionego uczucia raz na zawsze, na cztery wiatry przepłoszony. W ka-

lendarzach, almanachach, pamiętnikach całe powstawały ballady o ponurym nastroju, z akcją przeniesioną żywcem z krainy „Raubritterów“ — nawet ksieni Benedyktynek panna Kuhn cały tomik niemieckich poezji wylała na Czartowską skałę, a redaktor „Lwowianina“ Ludwik Zieliński zasypał ją mnogością dat historycznych.

W istocie jednak niewiele tylko dat historycznych przylgnęło do Czartowskiej skały. Lwowianie starzy nie rozczulali się zbytnio pustkowiem i urwiskami — raczej im do smaku przypadał wiczek młodzieży, dając jej to, co dać może otwarta księga przyrody: lot ducha wyniosły, oddech w piersiach szeroki, ojczystych łanów rozległy horyzont. Kilka pokoleń lwowskiej młodzi chadzało na urwisty szczyt „czartowskiej kazalnicy“ a wśród niej upamiętniło się to grono, które razem z Antonim Durskim utworzyło później pierwsze kadry polskiego sokolstwa.

Ostatnie pokolenia jednak widywały już tylko coraz większe zniszczenie cudnego tworu przyrody. Utworzone we wnętrzu Czartowskiej skały ka-



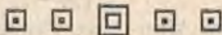
CZARTOWSKA SKAŁA.

śniowy sadek i rozkoszna pasieka. Dziwo przyrody, Czartowska skała należała od czasów Zygmunta III i dziś jeszcze należy do Konwentu Benedyktynek a z dziejów Lwowa wiadome jest tylko tyle, że przesiadywał na niej hetman Stanisław Jabłonowski, nie z zachwytu nad pięknością jej położenia ale z obowiązku swego. Wypatrywał bowiem stąd nadciągające hordy tatarskie w r. 1695 i obmyśliwał plan obrony miasta.

Gdy już Niemców nie stało we Lwowie, skała Czartowska pozostała nadal celem wycieczek... mieniołomy zagroziły jej istnieniu i dopiero głos publicznej opinji wstrzymał na chwilę niszczenie zabytku przyrody równie ważnego jak zabytki historyczne.

Krzyż Trzeciego Maja, pamiątkowa tablica Kościuszki i Głowackiego ozdobiły szczyt Czartowskiej skały w ostatnich dniach. I chociaż niedobra dłoń próbowała zniszczyć te objawy polskiego uczucia — to przecież odnowione, zostaną one tak długo na Czartowskiej skale, jak długo chodzić na nią będzie wycieczkami młodzież polska.

F. J.



Nieznany list St. Małachowskiego.

List, który poniżej podaję, znajduje się w zbiorze autografów Bibljoteki Baworowskich pod Nr. 671; jest on pióra Marszałka Sejmu Czteroletniego Stanisława Małachowskiego, a wysłany został do Michała Kochanowskiego, majora wojsk koronnych, posła na Sejm wielki z województwa Sandomierskiego, późniejszego członka Rady Stanu i senatora kasztelana Królestwa Kongresowego. Ponieważ po uchwale majowej adresat wyjechał był do Pińska, w charakterze Deputowanego J. K. Mci i sejmujących Rzplitej Stanów na Kongregację generalną obrządku greckiego orjentalnego, więc Małachowski, na kilkakrotne jego pytania, powiadamia go w odpowiedzi tym listem, jako członka stronnictwa reformy, o działalności rządu i ostatnich wydarzeniach. List ten ciekawy jest nietylko jako sprawozdanie z sytuacji, jaka się wytworzyła w 2 miesiące po nadaniu konstytucji majowej, ale i znamienny dla samego tonu, jaki tu rozbrzmiewa, pełnego nadziei w lepszą przyszłość, która niestety już w niedługim czasie miała być tak srodze zawiedzioną.

Warszawa 2 Julii 91.

Po ekskuzie, dlaczego zwlekał z odpowiedzią i wiadomościach prywatnych:

„Zagraniczni nawet sławnieysi Pisarze uwielbiaią go (nowy rząd) y przewyższaią go nad wszystkie w Europie Rządy, mówiąc, że z ostrożnością zrobiliśmy dla utrzymania Wolności i moc Exekucji Prawa oddaliśmy pierwszemu Urzędnikowi, ale nie Panuiącemu, owo zgoła powszechne y od kraiowych y od zagranicznych, odbieramy odgłosy chwały i wdzięczności; Wołyń iuż approbuie y tym Podobni. Od Dworów zagranicznych przez Ministrów tu będących Król Imść odbierał Ministerialiter powinszowania z nakazu ich Dworów. W tym przeświadczeniu o spokoyności tak od zagranicznych, jako od kraiowych zalimitowaliśmy aż do 15 7-bris. Jednak dla zabezpieczenia się zostawiliśmy moc Królowi zwołania Seymu... Deputacja ad Codicem Civilem et Criminalem iest wyznaczona a ci z Prowincjonalnych Sessyi są nominowani, Korona po sześciu u mnie przeznaczyła a Litwa 22. Obie Deputacje pod prezydencją swych Pieczętarzy, organizację w Miastach urządziliśmy bardzo dobrą, która sławę nam u zagranicznych sprawi. Anarchię w nich znayduiącą się oraz Arystokrację znieśliśmy, co niektórym starym na urzędach niepodoba się, ale sprawiedliwości dogodziliśmy w stopniach i związkach nayprzyzwoitszych. Kommissye Policyi ustanowiliśmy y Kommissarzami do nich z Stanów naszych wybraliśmy. Sandomirz przypuściliśmy ad Appellatorium inszych miast. Dwom zaś Prowincyom dozwolono dobrać jeszcze po jednym Mieyscu na Sessyach Prowincyonalnych, przezco od Miast po jednym z każdej Prowincji przybędzie Reprezentacii. Elektor koronę przyimuie iuż przez Pana Stanisława Potockiego tam będącego, zatwierdzał doniesienia dawnieysze, ale chce w iak nayokazalszych zapewnieniach od Dworów inszych postępować sobie, aby w naymnieyszey okoliczności nie było Przyczyną do przykrości jakiey kraiowi naszemu, Co iuż iest między Dworami ukoncertowanym. Czekamy tylko odgłosu w Ceremoniach zwykłych Potentatom“.

Dr. Bronisław Pawłowski.



MALUCZCY.

(Dokończenie.)

Tu nagle słowik wpadł mu w słowa pieśnią perlistą i zamilkliśmy oboje. Lekki powiew zdmuchiwał z czoła starca promienie białych włosów, wypogadzał to czoło, wygładzał, kładł na nie blaski, których w światłach wieczoru nie było.

Mimowoli zapatrzyłam się na to czoło i zdało mi się, że zrozumiałam w jakich ciemniach niegdyś przebywało i skąd płyną te piękne na niem łuny.

Ale starzec oderwał już oczy z przestrzeni, spojrzał na mnie, drgnął i natychmiast zagadawszy coś o rosie wieczornej, zbierać się począł do odejścia.

Jak oni stają się czujni, jak dziwnie nawskróś potrafią przejrzeć myśli człowieka! Straszna nauka — płaci się za nią latami niedoli,

Tej zimy Boksza zachorował. Wiadomość tę przyniosła nam Malwina, oznajmując, że staruszek drugi dzień już nie tknął jadła, a dziś wcale nie podnosi się z łóżka i znać po wszystkiem, że ma gorączkę. Posłano zaraz ze dworu lekarstwa i napoje; w południe ktoś poszedł odwiedzić chorego,

Istotnie, miał gorączkę i kaszlał silniej niż zawsze; nie wyglądał jednak na mocno chorego. Wszakże sam odrazu zagadał, że z choroby tej nie wyjdzie. Jakoż pod wieczór gorączka się wzmogła; w nocy przyszła maligna. Nazajutrz przybyły lekarz oświadczył, że chociaż choroba groźną nie jest, wiek, a nadewszystko wyczerpanie ogólne zwiększa niebezpieczeństwo i za nie ręczyć nie można.

Zdwojono czujność przy chorym. Opieki, pielęgnowania, nawet wygód nie zbrakło; ustawicznie czuwał ktoś przy nim. Gorączka wszakże nie opuszczała, przychodziły chwile wielkiego osłabienia.

W końcu tygodnia przybył ksiądz, chory wyspowiadał się, przyjął sakramenta.

I jak to nieraz się zdarza, po tem moralnem wstrząśnieniu, a pokrzepieniu, siły mu jakby nagle wróciły. Uciszył się, wyjaśniał jakoś; bole wszelkie ustały, gorączka spadła. Przyjął nawet trochę lekkiego posiłku. Pod wieczór było mu tak znacznie lepiej, że we wszystkich czuwających wstąpiła otucha; zdawało się niemal widocznem, że choroba się przesiliła i uzdrowienie przyjdzie. Gdy usnął, zostawiono go bezpiecznie; w izbie na straży pozostał tylko Jasiek.

Chłopak to był roztropny, a miły i jak się zdawało przywiązany wielce do staruszka. Od lat paru kręcił się ustawicznie koło niego; usługiwał mu niby, o ile starzec usługi tej potrzebował i wszystkie dni świąteczne lub słotne, wolne od pracy w ogrodzie spędzał w izdebce Bokszy. I między cichym, pogodnym starcem i tem dzieckiem z przeczyście jasnemi oczyma wywiązała się pewna zażyłość. Przywiązanie może, które ich łączyło sprawiało, że im najmilej było ze sobą. Sieroce chłopię znalazło tu w jego izbie, jakby rodzinny kątek, w którym przytulić się mogło — starzec w tej młodej istności nietylko promyk wiosny lecz może i serce, które pokochać łatwo. Kiedyś, wypadkowo zupełnie, podpatrzyłam, podsłuchałam raczej ich tajemnicę.

W jakieś długie dni słotne, kiedy robota wszelka na polu i w ogrodzie ustała, a dwór wyglądał ponury, scichły, jakby uśpiony — przechodziłam raz koło oficyn, a ścieżka wiodła mię popod okienko Bokszy. Cisza wielka, popołudniowa, panowała dokoła; ludzie i zwierzęta kędyś się przyczaili pod dach z robotą lub wypoczynkiem; nie było nikogo w około. Naraz przez zamknięte okno Bokszowej izby doleciały mię monotonne, rytmiczne odgłosy.

— C, n, o, cno, t, a, ta — dźwięczał głosik Jaśka — s, k, a, r, b...

— Skarb wielki! — dopomógł trochę zniecierpliwiony bas Bokszy.

Struchlałam; mimowoli obejrzałam się dokoła; na szczęście nie było nikogo.

Więc oto czem jeszcze zajmuje się Boksza... I znać, oprócz Żywotów świętych i kantyczki ma jeszcze inny jakiś skarb — ukryty mocno...

Nie wiem, czy kto we dworze wiedział o tej zbrodniczej działalności starego; jeśli Malwina lub ochmistrzyni podpatrzyły kiedy, jak ja, umiały otoczyć to tajemnicą, że do uszu nazbyt ciekawych, zdemoralizowanych systemem szpiegostwa, wieść nie doszła.

Ta wspólna „robota“ zbliżyła tych dwojga bardziej jeszcze. Podczas choroby Bokszy twarzyczka Jaśka posmutniała wyraźnie, chętnie i pilnie usługiwał choremu, a cieszył się, gdy uśmiech jaki z ust cierpiących, spalonych gorączką, do niego znienacka przyleciał.

I teraz rad pozostał przy chorym.

Gdy zmrok zapadać począł, rozpalił ogień na kominku, przystawił garczek z ziółkami, a sam na małym stołku przysiadł się do ogniska, rozłożył książkę na kolanach i wodząc po niej palcem, czytać począł półgłosem. Chory spał.

Snać długie chwile tak przeszły, bo chłopak stronice za stronicami obracał, a ogień z żywego, w czerwone blaski mienić się począł; gdy naraz chrzęsły deski podłogi, zaszemrały ciężkie stąpania. Chłopak obejrzał się za siebie — i zdrętwiał.

Boksza stał nad nim. Trzymały go ledwie dygocące nogi — rozpięta koszula ukazywała wychudłą kościstą pierś, ciężko dyszącą, policzki ogniem pałały i oczy krwią nabiegłe, dzikie rzucały ognie. W zapadającym mroku wydawał się nadmiernie wysokim i chudym.

— Słyszysz? — syczącym głosem szeptał z charczącej krtani. — Już zaraz przyjdą... Już idą! — Pochylał się nad chłopcem i zakrzywione palce wpijał mu w ramię. — Uciekaj, jeszcze czas!... A nie mów nic... Pamiętaj, abyś nic nie wygadał! Nic nie wiesz — nic nie znasz — niczego nie rozumiesz — pamiętaj! Choćby cię do śmierci bili — nic i nic!... Ts... ts! Już... już zbliżają się, już nadchodzą!

Przechylił głowę, rzucał pałającemi oczyma na drzwi, na okno.

Rękę wyciągnął żylastą, włochatą — dłoń dygotała — chciał coś ująć, coś odegnać...

Jasiek z przerażenia głosu wydobyć nie mógł, usta mu tylko drżały.

A Boksza charczał:

— Widzisz?... od kości mięso szmatami zwisa... Z pleców, z żeber... Widzisz? Krew chluszcze ci czarna... żyły otwarły się, czy co?

Dygocącymi palcami szarpał rozpięte rękawy koszuli.

— Phe! skóra wisi szmatami, jak darte płótno... O, sina, zbita na miazgę...

Pochylił się nad głową chłopca.

— Pójdź! wyprowadź mnie na mróz, bo to pali jak ogień... goreję cały... Gdzie stąpam, krew spływa — idę krwawemi śladami — a oni mię wloką... Pójdź! pójdźmy na mróz! Goreję cały... O Chryste! O Chryste!

Ręce wyciągał i wlókł się ku drzwiom, a pierś dyszała mu ni to jękiem, ni łkaniem.

Jasiek rzucił się za nim, przypadł mu do nóg, rękami objął kolana.

— Panie — wołał z płaczem — nie idźcie! nie idźcie nigdzie... Wyście chorzy!... Czy nie poznajecie mnie?... mnie? mnie?

Tulił nogi jego w drżących ramionach, gęstwiną nastrzępionych włosów cisnął się mu do kolan.

Starzec stanął; słuchał wytężonym słuchem szlochań dziecka i twarz mu spokojniała. Zmilkł, skurczył się, drżącą ręką jął otulać koszulę na piersi.

Położył dłoń na włosach chłopca.

— Pójdź — rzekł spokojnie — odprowadź mnie do łóżka — nie płacz...

Jasiek pomógł mu ułożyć się, nakrył, otulił.

Starzec osłabł zupełnie.

— Daj pić — wyszeptał ledwo dosłyszanym głosem.

Chłopak kubek z ziółkami do ust mu pochylił.

Ucichł stary, leżał spokojnie, wyczerpany i bezsilny; tylko z ust wpółotwartych szły syczące oddechy i w piersiach grało.

Jasiek przysiadł się na krawędzi łóżka i wzrokiem gonił po izbie pełzające łuny.

Mrok w izbie stawał się coraz gęstszy. Ogień na kominku dogasał powoli; na rozrzuconych ogarkach błąkały się tylko zwiewne płomyki. Z kątów, z pod pułapu, z okapu kominka wysuwały się niekształtne cienie i pełzły na środek izby. W okienku błękitniał zmierzch; na dalekim skłonie niebios zaczęły migotać gwiazdy.

— Jaśku... — ozwał się nagle szept chorego.

Jasiek przysunął się bliżej.

— Jaśku... A czy ty dobrze zapamiętał? Wszystko?... Będziesz pamiętał?

Wpijał się w chłopaka wzrokiem niespokojnym, pytającym.

Jasiek pochylił się, bystro popatrzył mu w oczy.

— Będę pamiętał — rzekł mocno.

— To powtórz. Powtórz wszystkie!

Jasiek kląkł przy łóżku i złożywszy ręce począł głośno odmawiać pacierz. Skończył, przeżegnał się — na „niech będzie pochwalony“ — głowę pochylił. Wychudła ręka wyciągnęła się nad nim i dygocąc krzyż zakreśliła nad pochyloną głową.

Chłopak szlochając przypadł czołem do krawędzi łóżka.

A chory szeptał:

— Nie płacz... Nie trzeba! Nic ci dać nie mogę — ale pacierza cię wyuczyłem. Pomodlisz się za mnie. Nie stać mnie na msze — ale ty przyjdziesz na mogiłę, zmówisz pacierz za mnie — biedak, takiś sierota, jak ja... Pan Jezus się ulituje. Pamiętaj! nie zapomnij pacierza! Pacierz szedł z nami i za sprawę — i do ciemnic — i jak knutowali. Pacierz był ze mną i Chrystus był ze mną... Nie zapomnij...

Oddech urywany zaparł mu słowa, coraz głośniej rzężała pierś, coraz trudniej, coraz ciężej mocowała się z ostatkiem tchnień. Usta szeptały coś jeszcze, ale próżno Jasiek pochylał głowę i słuch wytężał — już tylko resztki słów, resztki szarpanej myśli mógł pochwycić, lecz powiązać ją było nie sposób.

Noc zapadła. Ustało i umilkło wszystko. Rozpostrzeniła się głucha, twarda cisza.

Na pościeli wyciągnięty, równy leżał kształt człowieka.

W mroku nocnym uwydatniała się głowa nieruchoma, sztywna, długie białe pasmo włosów i czoło wysokie, szlachetnie rzeźbione.

Chłopię stało przed nim zdumione i zalękłe, nasłuchując, czekając jeszcze. Ale najlżejszy cień oddechu nie poruszył skamieniałej piersi.

Chłopak dotknął wyciągniętej ręki i drgnął. Pochylił się nisko do twarzy, zajrzał w źrenice — nieruchome, zastygłe, patrzyły w pustą przestrzeń blaskiem martwego szkliwa.

W ciszy, w mroku, rozległ się strwożony płacz dziecka.

— — — — — — — — — — — — — —

Kiedy nazajutrz zeszli się ludzie pomodlić się za duszę Bokszy, leżał na wzniesieniu, w blasku świec, taki pogodny i cichy, jakim był za życia. Uśmiech niewymownie jasny usta mu ozdobił — i z tym uśmiechem słodkim, z obrazkiem świętym w rękach, z białymi włosami dokoła pięknej twarzy zdawał się być ptakiem białym, przelotnym gościem, zabłąkanym wśród nas gołębiem, który uniesie ze sobą całą swą nieskazitelność i całą jasność w słońcu skąpanych piór.

Pogoda i cisza towarzyszyły mu do grobu. Oprócz dużych łez wiszących na rzęsach dziecka, żadne inne łzy nie płynęły. Nawet słońce wychyliło się z za chmur, aby na jego samotną mogiłę zlać wszystkie blaski i wszystkie ciepło, jakie jesienne południe dać może. Z grudkami ziemi padały na trumnę starca nie łzy, a życzenia, jakbyśmy wszyscy żegnali go uśmiechem i słowem: do widzenia.

I z tem niezapomnianem widmem cudownej jasności wracaliśmy do domu, uroczyści i umocnieni, jakbyśmy Boga wśród siebie czuli.

Lecz w domu zato zastaliśmy wielką pustkę. Dwór Lesieniecki wydał się nagle innym. Brakło tu czegoś, co w życiu przyziemnych prac, zgryźliwych kłopotów, liczenia, mierzenia, utyskiwania, dźwięczało nutą zgoła inną — niedopasowaną może i różną — lecz czystszą, słodszą, wyższą, czemś, do czego bezwiednie jak do odpoczynku lgnęły serca ludzkie.

Jedna biała dusza ubyła — zgasła cicha istność, która maluczkie i wcale nieznaczne zajmowała miejsce, a zdało się, wszystkim, jakby nad skupionem życiem dworu zgasła nagle jedna jasna gwiazdka, która przeświecała nam w jesienne noce stałem, kojącem, przedziwnie czystem światłem.

Wanda Dalecka.



NOTATKI.

Nowa biesiada, napisał G. Lowes Dickinson, z angielskiego Edmund S. Naganowski. Lwów, Księgarnia H. Altenberga. Doborowe grono mężczyzn, ludzi różnych przekonań i zawodów, zbiera się w sobotnie wieczory u jednego z pomiędzy siebie, aby po wspólnym obiedzie przepędzić czas na swobodnej dyskusji, zagajonej jakimś referatem. Tego jednakże wieczora, o którym opowiada nasza książka, wyznaczony referent zrobił zawód; na propozycję gospodarza zgodzono się tedy mówić na zaimprowizowany temat: każdy z obecnych miał się wyspowiadać ze swoich przekonań politycznych i społecznych. Mówi tedy najpierw konserwatysta starej daty, liberał, neokonserwatysta, socjalista, anarchista, a potem ludzie różnych zawodów i temperamentu: profesor, przyrodnik, dziennikarz, aferzysta, poeta, wielki pan, kwakier i literat. Książka niniejsza jest odbiciem prądów nurtujących dziś w społeczeństwie angielskiem — lektura zaś jej byłaby pożyteczną i u nas, nauczyłaby bowiem trochę politycznego myślenia. Bo rasa ludzi politycznie myślących u nas, jak powiedział ktoś niedawno — wymiera tak samo jak rasa żubrów w puszczy białowieskiej.

Próby czcionek. W zbiorach p. Kazimierza Przybysławskiego w Uniżu znalazł się druk jednostronny, na arkuszu, zatytułowany: „Wzór pism rozmaitych składaiących drukarnią przy Gazecie narodowey i obcey“ a podpisany na końcu „Rządca Drukarni Stanisław Szymański — Redaktor Gazety narodowey i obcey“. Jak wiadomo, gazeta ta wychodziła przy końcu wieku XVIII. w Warszawie, a niniejszy arkusz jest rodzajem afisza reklamowego, zawierającego wzory czcionek drukarskich. Wzory te dać mogą miarę zasobności drukarni warszawskiej przy końcu XVIII. w. i rozmaitości czcionek, których poszczególne rodzaje nazywały się trochę inaczej niż dzisiaj. I tak posiadała drukarnia Gazety narodowej i obcej następujące rodzaje czcionek: Kanon antykwa i kanon kursywa, Romana antykwa i kursywa. Charakter polityczny, zwykły, angielski i holenderski (pismo rondowe), Tercja antykwa i kursywa, Mytel antykwa i kursywa, Scholastyka większa i mniejsza (dzisiaj cycero), garmont, borgois, petyt i subpetyt (odpowiadający dzisiejszemu nonpareille). Przy końcu pomieścił rządca drukarni i redaktor w jednej osobie próby „znaków algebrycznych i frakcji“.

F. J.

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego“.